

BLANKA GUL-OLSZEWSKA

ur. 1938; Warszawa



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, przesłuchania, Służba Bezpieczeństwa, SB, problemy zdrowotne, obóz dla młodzieży, Wyższe Seminarium Duchowne w Lublinie

Przesłuchania na Narutowicza

Tym razem znaleźliśmy się na Narutowicza, tam była Komenda Milicji Obywatelskiej i też pomieszczenia biurowe Ministerstwa Spraw Wewnętrznych organu lubelskiego czy wojewódzkiego. Tam dosyć długo czekałam na korytarzu sama, miałam popielniczkę, wolno mi było palić papierosy i to czekanie się przedłużało, przedłużało, przedłużało. Wreszcie po jakiejś półtorej godziny wezwano mnie do pokoju, oczywiście zabrano mi zaraz na początku dowód, przepytano mnie z takich podstawowych danych osobowych jak nazwisko, imię, data urodzenia, imię ojca, imię i nazwisko matki, miejsce pracy, adres i tak dalej, wszystko to, co było w dowodzie zresztą, który mieli na swoim biurku. Jeszcze raz mnie zapytano, czy wiem, dlaczego się tu znalazłam, powiedziałam, że nie wiem i cały czas tam siedząc na korytarzu, kombinowałam, o co chodzi. Miałam wrażenie, że gdzieś na uniwersytecie ktoś coś przeskrobał, ja o tym nie wiem, nawet takie miałam pretensje, że jak coś się dzieje, to akurat mnie się nie mówi, a ja jestem do takich specjalnych poleceń, ale to były takie myśli przewijające się przez głowę.

I znowu czekałam, czekałam długo, znowu mnie wezwano, wezwał mnie kto inny, zadano mi te same pytania. I wtedy ja się zdenerwowałam, bo siedziałam już kilka godzin, chciało mi się pić i pomyślałam sobie, że właściwie to jest kompletny już idiotyzm i właściwie jakim prawem ktoś mi zabiera tyle godzin. Minęło południe i kiedy po raz trzeci mnie wezwano do jakiegoś jeszcze innego pokoju, jeszcze inne osoby zadały mi te same pytania i maszynistka spisywała to na maszynie po raz trzeci, ja się trochę wściekłam w środku i zaczęłam się bardzo gwałtownie dopytywać, o co chodzi, że ja nie mam czasu, że poświęciłam im tyle, że ja wszystko rozumiem, że od czasu do czasu muszą sprawdzić dane osobowe wszystkich obywateli w Polsce bez względu na to, co robią, ale żądam, żeby mi powiedziano. Na to mi odpowiedziano, że nie jest to ich wina, że czekają na osobę, która będzie ze mną rozmawiać, nie używano oczywiście słowa „przesłuchanie”. I wtedy ja sobie przypominałam nazwisko

faceta, który był przydzielony do UMCS-u jako nasz taki konfident, który nas jakby prowadził, znaczy nie w sensie prowadzenia agentów, tylko to się nazywało w takim slangu „opiekun” i zażądałam sprowadzenie tego pana od uniwersytetu, potem drugiego, który był jeszcze też do niego przydany i był takim opiekunem już wydziału, miał na imię Adam. Ten pan się zjawił, zdziwił się, że ja tam jestem i powiedział, że ta sprawa niestety nie jest w jego resorcie. No i pytał, czy nie chcę pić, czy nie jestem głodna, przyniósł mi szklankę wody jedną, drugą, był taki zaniepokojony, wyrażał sympatię dla mnie i nie tyle może niepokój, ile ubolewanie, że naprawdę on nie rozumie, dlaczego ja tu [jestem], zupełnie się nie orientuje, o co chodzi. I potem ten pan znikł, ja znowu czekałam. Ponieważ już miałam kontakt z tym facetem w krótkiej rozmowie, żądałam znowu jego przybycia tutaj i powiedziałam, że jeżeli mam [mieć] jakieś rozmowy i przesłuchania, to tylko [z nim], bo on jest formalnym opiekunem wydziału. Wtedy mi powiedziano, że on niestety wyjechał do Puław czy do Chełma, do swoich obowiązków służbowych, a zresztą to jest w gestii kogo innego, kto jest też taki w tej chwili nieuchwytny i chyba będą musieli jednak mnie zatrzymać na następny dzień.

Wtedy ja już naprawdę się wściekałam w środku, odmówiłam modlitewkę do Anioła Stróża, którą mi zalecił jeden z księży po ostatniej spowiedzi, spowiedzi zresztą odbytej po raz pierwszy po trzydziestu latach – ja tę modlitewkę dziecienną sobie odmawiałam od czasu do czasu, jak byłam w kłopotach – i dosłownie natychmiast po wyszeptaniu bezgłośnie tej modlitewki, kiedy oni patrzyli na mnie, że co ja tam szepczę, co ja mówię, dosłownie wpadłam w szewską pasję, adrenalina mi tak podskoczyła, że zaczęłam ich już objężdżać, że to jest niemożliwe, żeby trzymać kogoś tak długo bez wyjaśnienia, że to jest paranoja, że to jest irrealizm, że ja nie wyrażam na to zgody, że nic mnie nie obchodzi, że ktoś, kto ma mnie przesłuchać, jest nieobecny, jeden jest nieobecny, drugi jest nieobecny, że ja w to nie wierzę, a poza tym, jeżeli mam już tam iść, to proszę mi wydać zezwolenie na branie leków z sobą, ponieważ kiedy byłam [zatrzymana] ostatni raz, nie pozwolono mi zabrać nic oprócz papierosów. Więc oni się wtedy zapytali: „Leki? A o co chodzi?”. Ja sobie nagle przypomniałam, że w torebce mam kartę wypisu ze szpitala kardiologicznego, ponieważ wcześniej przeszłam zawał i lekarka, która mnie prowadziła, dała mi kopię takiego wypisu i z takim specjalnym akcentem powiedziała mi: „Proszę to na wszelki wypadek przy sobie nosić zawsze”. Ja rozumiałam wtedy, że to dotyczy jakiejś reanimacji, gdyby była sytuacja jakaś groźna dla zdrowia, ale pomyślałam sobie też, że może o co innego jej chodziło. Ja to przy sobie miałam. Wtedy powiedziałam, że przechodziłam zawał i mam z sobą leki, które muszę zażywać, dlatego potrzebna jest mi woda, potrzebne mi jest pozwolenie na wniesienie ich do celi. I oni z takim uśmiechem mówią: „A może nam pani udowodnić to?”. Wyciągnęłam ten złożony dokument A4, ten wypis ze szpitala, zaskoczona tym, że mi się to przypomniało. Oczywiście zaraz sobie pomyślałam o Aniele Stróżu, bo to nie pierwszy raz mi się tak zdarzyło. Podałam im to i zaproponowałam skserowanie, bo w takich urzędach

kskerografy już były, oni to skserowali i zażądałam oddania mi tego dokumentu, grzecznie mi oddali i wyprosilili mnie na korytarz, bo mieli się naradzić. I po chwili już powiedzieli, że to jest nowa sytuacja, że oni nie wiedzieli o tym, żebym poczekała, że może coś się da dla mnie zrobić.

I po następnej godzinie czy więcej, kiedy ja tam na tej twardej ławce [siedziałam], papierosy mi się kończyły i już miałam wszystkiego dosyć, pomyślałam sobie, że to fajnie, że oni się trochę zdenerwowali i że to może [pomocze], bo właściwie z jakiej racji ja mam znowu lądować w celi, na dodatek nie wiedząc, o co chodzi i właściwie taką powinnam mieć postawę, żeby się nie dać. Ale wcześniej myślałam sobie, że już mi wszystko jedno, że może to jest okazja, żeby wreszcie się uwolnić i od nagabywania mnie na uniwersytecie za każdym razem, kiedy ktoś się do mnie przyczepia, a było to wiele, wiele razy po tym pierwszym aresztowaniu, z racji pracy w duszpasterstwie, za każdym takim tak zwanym moim potknięciem, to znaczy zadaniem, które robiłam ze studentami, z pracami studenckimi, które były na wystawie BWA, ponieważ BWA zachwycone naszą pracą w pracowni problemów form i wyobraźni zaczęło nam robić wystawy. Dla studentów to była taka piękna promocja i czas był taki, że zawsze były jakieś prace, które opisywały rzeczywistość w sposób artystyczny, tym się zresztą pracownia charakteryzowała, ale nie były to jakieś takie jednoznaczne prowokacje, tylko zakamuflowane, zaszyfrowane językiem sztuki. I myślałam sobie, że naprawdę mam już dosyć, bo pracuję więcej niż ktokolwiek, żeby nie było tak zwanego haka na moją pracę na uczelni, że się bardzo pilnuję i wreszcie mam tego dosyć. Pracowania za trzech, pensji pojedynczej, sytuacji, że muszę nie tylko co semestr, ale częściej przynosić od lekarza zaświadczenie wyżebrane, zezwolenie na pełny etat, a działa się tak przez cały czas, ponieważ na Radzie Senatu ciągle stawał mój przykład i moja osoba była powodem napaści na moich szefów, którzy byli oskarżani o mój zawał, o moje kłopoty ze zdrowiem i inne takie. Ja w tym nie brałam udziału i nawet mnie to, przyznam, irytowało, bo te działania były moją decyzją i po odwieszeniu mnie, po tej pierwszej mojej wpadce, zawieszeniu, pozbawieniu pensji w pierwszym okresie, w roku [19]82 już byłam oswojona z tym i w ogóle się tym nie przejmowałam, tak że jeżeli zawał miał jakiś związek z postawą moich szefów na uczelni, to tylko z tej racji, że ja byłam po prostu piekielnie przemęczona i przepracowana, ale nie tylko na uniwersytecie.

Kiedy wracam teraz do sytuacji tego przesłuchania, ilustruję te moje przemyślenia na korytarzu, które tak przepływały: mam już dosyć, następne będą historie na uczelni po aresztowaniu i może to dobrze, bo wreszcie się ode mnie odwałą i mnie wywałą stamtąd, właściwie ja już mam tego trochę dosyć, w końcu mogę jeszcze robić różne rzeczy i nie muszę tam pracować. Ja kochałam tę pracę i to było troszkę zamaćone takim żalem, byłoby mi żal się rozstać z uniwersytetem. A z drugiej strony byłam już tak zmęczona tą sytuacją, że może byłoby dla mnie lepiej, gdybym odeszła po dwudziestu paru latach pracy pedagogicznej. I kiedy tak się wahałam między jednym i drugim, co lepiej, czy znowu wylądować w celi, wtedy oni się wściekną i mnie

wywałą albo ja będę musiała sama w jakiś sposób odejść, mnie wezwano znowu i znów wylądowałam w nowym gabinecie.

Zauważyłam, że przez ten korytarz, gdzie siedziałam, przebiegł jakiś facet, który na chwilę się zatrzymał i spojrzał na mnie, twarz mi była jakby znajoma, ale nie bardzo kojarzyłam. Przystojny brunet z ciemnymi wąsami. I za chwilę wprowadzono mnie do gabinetu, gdzie właśnie ten gość siedział. Ku mojemu zdumieniu odezwał się do mnie przez: „pani Blanko” czy: „pani profesor”. Ja szukałam w pamięci w rejestrze moich uczniów z liceum, moich studentów z dawniejszych lat, ale jakoś mi nie pasował do żadnego obrazu. To był człowiek w wieku trzydziestu, trzydziestu paru – ale jeżeli paru to niewielu paru – lat. Jakoś nie mogłam go zidentyfikować. A on zaczął od tego, że dopytywał się, czy go nie poznaję. Ja: „Właśnie grzebię w pamięci, ale nie pamiętam” i on powiedział: „Obóz w Białce”. Byłam na tym obozie jeszcze przed rozpoczęciem pracy w liceum plastycznym i pojechałam tam na prośbę moich znajomych, których poznałam na prywatnym przyjęciu u dawnej mojej koleżanki i była tam mała grupka z liceum plastycznego. Na tym obozie był właśnie pan, który siedział w roku [19]85 naprzeciwko mnie. Pan starszy o ileś tam lat, kiedyś chłopak 17- czy 16-letni, który adorował instruktorkę, tak zresztą jak wszyscy chłopcy w tamtym czasie, ja byłam z synkiem 5-letnim, młoda, wysportowana, mająca dla nich czas i to było normalne, bo chłopcy 15-letni, 16-letni adorują swoje nauczycielki, instruktorki, a instruktorki to wiedzą i starają się więcej uwagi poświęcać dziewczynkom, a chłopców trzymać krótko. To był jeden właśnie z takich najbardziej uczynnych i chętnych do pracy uczestników obozu, zresztą miałam bardzo dobre układy z młodzieżą. Komendanci wiedzieli, że w niedzielę organizuję tak zajęcia, że część, która chce iść do kościoła, może iść do kościoła, po prostu wychodziłam z grupą gdzieś do wioski, gdzie był kościół parafialny, jedni szli się kąpać, drudzy [gdzie indziej]. Oczywiście tych kąpiących ja musiałam pilnować, inni szli sobie na mszę, był to czas wolny i to młodzieży odpowiadało. I ja też czułam się sprawiedliwa. To był właśnie jeden z uczestników tego obozu. Ja nie od razu go sobie przypominałam, ale on mi podsunął, mówi tak: „Błękitne džinsy, które były rozerwane, ale tylko lekko na udzie, ponieważ miała pani wypadek na motorze, i które mi pani podarowała, czerwony kapelusz słomkowy, który wiatr zerwał, kiedy pływaliśmy kajakami. A kto pani przynosił grążele żółte i nenufary białe ze środka jeziora?”. No i ja wtedy przypominałam sobie imię, to był Waldek. Nazwiska oczywiście nie pamiętam. Ja wyraziłam swoje zdanie na temat jego obecności tu i teraz, jego kariery, ale w sposób taki trochę zgryźliwy, taki z pozycji starszej pani już. On powiedział, że losy ludzi różnie się układają i on jest tu konsekwentny, natomiast ja chyba mniej. Powiedziałam: „Każdy konsekwencję rozumie inaczej” i tak się zaczęła rozmowa. No i ja, powołując się na tę znajomość, jego takie piękne wspomnienia, poprosiłam, żeby mi powiedział, z jakiej racji ja tutaj jestem. A on wtedy mówi: „Naprawdę pani nie wie?”. Ja się zorientowałam, że jestem z jakiegoś konkretnego powodu i oni myślą, że ja wiem, a ja naprawdę nie wiedziałam. Mówię: „Poproszę o jakieś kilka pytań naprowadzających”. Pierwsze

pytanie brzmiało: „Co ma pani wspólnego z WSD?”. W PRL-u wszystko miało swoje skróty i te skróty na ogół żeśmy znali, ale w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć, co to jest WSD. Więc: „A co to jest WSD?”. „No jak to, przecież pani pracuje z WSD”. Przeszukałam w pamięci wszystkie instytucje, niezliczone zresztą, z którymi miałam do czynienia, wszystkie domy kultury, wszystkie ośrodki terapii przez sztukę, wszystkie szkoły średnie, w których miałam jakieś spotkania autorskie, czy którym pomagałam w projektowaniu plastycznym, w dodatkowych jakichś lekcjach, nie mogłam znaleźć. Okazało się, że to jest Wyższe Seminarium Duchowne. Rzeczywiście, na prośbę księdza Brzozowskiego, ówczesnego rektora seminarium, bardzo zasłużonego dla Solidarności, prawdopodobnie z poręczenia księdza Wacława Oszejcy, który był też kapelanem Solidarności i zaprzyjaźnionym takim półpasterzem Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, miałam przez kilka semestrów takie wykłady, warsztaty w seminarium duchownym i tam miałam alumnów na prośbę księdza rektora jako plastyk uświadomić w trzech sprawach. Po pierwsze, że z dyplomem ukończenia Wyższego Seminarium Duchownego i ze święceniami kapłańskimi nie otrzymają od Ducha Świętego świadomości plastycznej, że to jest działka, której się trzeba nauczyć i jeżeli obejmą parafię na wsi albo zostaną skierowani przez swojego biskupa do pracy w mieście i w zakresie ich obowiązków będzie urządzenie szopek, grobów i wystrój kościoła, to powinni zapytać fachowca, a nie wiedzieć najlepiej. Po drugie, że dopóki są w Lublinie, powinni zaprzyjaźnić się z jakimś plastykiem, chociażby z absolwentem liceum plastycznego, żeby mieć przyjaciela, który im w tym pomoże. A po trzecie, żeby wiedzieli, że plastyka i historia sztuki to jest potężna gałąź wiedzy i warto o tym coś wiedzieć i [wiedzieć], gdzie szukać wiadomości. No i jeżeli starczy czasu, to plus minus o tym, że sztuka się zmienia w historii i w tej chwili buduje się dużo nowych kościołów i to, co jest w środku kościoła, to, co jest oprawą nabożeństwa, powinno jakoś współgrać z architekturą. Mi się bardzo to podobało, uważam, że wyjątkowo trafnie zakres moich obowiązków ksiądz rektor określił, a poza tym był to zaszczyt pracy z takim człowiekiem. Ja rzeczywiście przez kilka semestrów tam próbowałam tym chłopakom coś o tym opowiedzieć i trochę to środowisko właśnie młodych księży poznałam. Ale to było wszystko, co łączyło mnie z WSD. Ale wtedy pomyślałam sobie, że jeżeli pyta funkcjonariusz o WSD, to prawdopodobnie jestem namierzona przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych i sprawa gdzieś dotyczy mojej działalności takiej permanentnej w tych latach właśnie w tym Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, które w owym czasie zbierało twórców i ludzi kultury ze stowarzyszeń twórczych zawieszonych przez dekret o stanie wojennym w tym czasie. Więc już mniej więcej wiedziałam, o co chodzi. Ale dalej nic, no, przychodziły mi na myśl a to jakieś wystawy, a to jakieś msze za ojczyznę, ale to wszystko nie wydawało mi się powodem do akcji takiego skrupulatnego przesłuchiwania, pozbawienia mnie książek, bo miałam świadomość, że w każdym domu polskim takie czasopisma istnieją. Zresztą, siedząc na korytarzu, podsłuchałam rozmowę, jakaś kobieta przez otwarte drzwi mówiła: „Dajcie spokój, to

tyle już godzin, to jest chyba bez sensu”. Na któreś tam moje dopytywanie się, o co chodzi, ta pani uważała, że powinno mi się powiedzieć. To była taka krótka jakaś tam rozmowa podsłuchana i to pozwoliło mi kombinować, że tu gdzieś chodzi o kręgi kościelne i o działalność tych stowarzyszeń zawieszonych. Jak się potem okazało, miałam rację. Ale temu panu odpowiedziałam, że miałam takie wykłady, dotyczyły tego i tego, ale w dalszym ciągu nie rozumiem związku między [tym a] moim pobytem tutaj i prawdę mówiąc mam już tego dosyć. I proszę bardzo, zabierzcie mnie na Północną albo na Południową, jak wolicie, bo już naprawdę tego mam dosyć. I on wtedy powiedział: „Niech pani popatrzy na kalendarz”. Kalendarz stoi przede mną, taki biurowy, patrzę na ten kalendarz, mamy koniec czerwca i to mi nic nie mówi. Wiem tylko, że jest festiwal kapel w Kazimierzu, zresztą muszę tam być jutro, ponieważ polecono mi opiekę nad czeską plastyczką, którą poznałam na warsztatach teatralnych, miałyśmy wykłady w Gardzienicach i mam się nią opiekować. Rano mam ją odebrać z domu kultury i na prośbę Wojewódzkiego Domu Kultury, który jest współorganizatorem, mam się nią opiekować w Kazimierzu. „A jak się nazywa?”, no, nazywa się tak i tak. I wtedy przyszedł pomysł: „Proszę zresztą sprawdzić w domu kultury, bo ja jutro mam pracę w Kazimierzu”. On sobie to skwapliwie zapisał, potem zapytał: „A jak to z tym zawałem”, ja mówię: „Jestem po zawale, jestem zdrowa, muszę się meldować w poliklinice co jakiś czas i muszę brać leki i dlatego prosiłam o kartkę i teraz pana proszę, [żeby] pan mi napisał odpowiedni [tekst], jest pan oficerem, pana zaświadczenie będzie ważne na Północnej”. On sobie znowu to zapisał i mówi: „Festiwal kapel, no ale, pani Blanko, robi pani uniki, co jeszcze w czerwcu?”. Ja znowu patrzę na ten kalendarz, nic nie rozumiałam, pomyślałam sobie nawet: poznański Czerwiec, ale to było w roku [19]56. I nic nie rozumiałam do końca. On wyszedł, zostawił mnie tam w tym pokoju przy otwartych drzwiach, ja miałam silną pokusę, żeby zerknąć, bo taka teczka leżała z moim nazwiskiem i datą urodzenia na wierzchu, taka tekturowa, straszną miałam ochotę tam zajrzeć, co to jest za teczka, w ogóle pojęcie „teczka”, sprawa teczek to rozumiem w urzędzie, w biurze paszportowym, ale tam? Jakoś tak myślałam, że to jest może z biura paszportowego, może dotyczy jakichś moich wyjazdów, ale nie było ich dużo, bo nie dostawałam paszportu przez całe lata 80. Natomiast starałam się o paszport.

On po jakimś czasie wrócił, mówi: „W związku z zaistniałymi okolicznościami, pani zawał, nie chcielibyśmy być przyczyną jakichś kłopotów zdrowotnych, ja nie jestem kompetentny w podjęciu decyzji, ale moi szefowie właśnie się naradzają, bo ja zaświadczyłem, że pani jest wspaniałym człowiekiem, zrobiłem, co mogę, ale decyzja nie należy do mnie, ja chciałbym jeszcze zadać pani kilka pytań”. No i te pytania brzmiały tak: „Gdzie się pani jutro wybiera?”. Ja mówię: „Mówiłam, że do Kazimierza, proszę sprawdzić”. „Ale jeszcze gdzie?”, „No, do Puław”. „Ale w najbliższych dniach jeszcze gdzie?”. „No chyba do Warszawy, bo być może odwiozę moją koleżankę czeską do Warszawy, żeby jej pokazać Warszawę”. „A dalej?” „Dalej nie planuję”. „A w Poznaniu ma pani jakąś rodzinę?”. Mówię: „Mam”. „Jaka?”. „Siostra mojego byłego

męża”, bo już byłam wtedy po rozwodzie. „A jak się nazywa?”. „A tak i tak”. „A może jakichś przyjaciół?”. Ja mówię: „Chyba mam jakichś przyjaciół ze studiów”, tu wymieniłam imię, nazwiska nie pamiętałam, ktoś był z Poznania na roku. „Ale coś więcej, coś więcej, idąc tokiem naszej rozmowy”. Ja mówię: „Nic nie wiem, nie wiem, nie pamiętam”. „A jakieś zaproszenie do Poznania czy pani miała?”. Ja mówię: „Nie, bo ja jestem rozwiedziona, wprawdzie mam dobre kontakty z rodziną mojego męża, ale akurat nie miałam ani telefonu, ani kartki z pozdrowieniami”. „Hm, to naprawdę dziwne”. Znowu mnie zostawił, kiedy wrócił, powiedział: „No, podjęto [decyzję] na moje szczęście i pani, bo nie chciałbym uczestniczyć tutaj w pani kłopotach, [że] może pani się udać do domu, ja panią odwożę”. No i ja wtedy zaczęłam go błagać, żeby mnie nie odwoził, on pytał dlaczego, ja mówię: „Jeszcze przez okno mnie ktoś z panem zobaczy i mi pan zepsuje opinię, ja wolę sama”. No, on powiedział, że mu bardzo przykro, ale właściwie to mu też pasuje, bo dawno w domu nie był i odprowadził mnie do wyjścia, chciał mi wezwać taksówkę, ale ja podziękowałam i poszłam do domu.

Data i miejsce nagrania	2008-10-17, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"